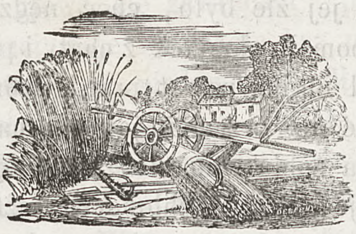
Tom II. 1. Grudnia 1870. Nr. 16

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sieroty.

W odludnej okolicy, wśród gęsto zarosłego lasu, stała chatka gajowego Marcina. Okrutny to był człowiek: pijak, hałaburda, wszystko wynosił do żyda na wódkę — a tu w domu żona biedna, wynędzniała od pracy, schorowana, cierpiąca, wlokła życie nieszczęśliwe na tej strasznej pustyni, oddalonej od ludzi. Biedne kobiecisko marniało już tak od pięciu lat.

Za cały dobytek już tylko jedna została koza, trochę ziemniaków i warzywa w ogródku. A przecież, kiedy się pobrali, wszystko było w domu: para koników, dwa wozy, krowy, owce, cielęta i trzoda. Hust i przyodziewy miała Marcinowa wtenczas podostatkiem, ponieważ pani sama we dworze ją wychowywała i lubiła bardzo, bo potulne i pracowite było dziewczątko. To też i z podarunków i zapobiegliwością i oszczędnością, uzbierało sobie dziewczę szat pełną skrzynię i cwancygierów srebrnych kilkadziesiąt.

Nawinął się gajowy — zdawało się stateczny człowiek — ujął sobie Marysię, a choć pani nie pozwalała z początku, bo ją chciała na grunt wydać, musiała w końcu ustąpić, bo wychowanka się uparła, mówiła że kocha gajowego, że bez niego żyć nie może, że się woli utopić niż iść za innego. Cóż było

robić — wyposażyła pani wychowankę swoją Marysię, pobłogosławiła, i wkrótce odbyło się huczne weselisko.

Później, choć jej źle było, choć nędza dokuczała, choć mąż bił, wynosił pomału dobytek z chaty i przepijał, nie narzekała nieboga przed nikim, nawet przed dobrą panią nie śmiała się poskarżyć; boć to przecież jej własna wola, boć mimo upomnień zgotowała sobie sama los nieszczęśliwy.

Dał Bóg dwoje dziatek; chłopczyna czteroletni, dowcipny, rumniany, rósł zdrowo i ładnie, mimo nędzy i niedostatku.

Dziewczyna zaledwie kilka miesięcy mająca, tuliła się do zeschłej matczynej piersi. A tu w domu ani grosza, i mąż gdzieś od kilku tygodni wyszedł.

— Matusiu — matusiu, jeść dajcie! — jeść mi się chce bardzo — matusiu ja głodny, i matusia także.

— Boże, mój Boże! cóż ja pocznę nieszczęśliwa?!

Boże zlituj się nademną! cóż ci winny niewinne dzieci, że je tak karzesz srogo?...

— Matusiu moja droga, idź do Pani we dworze — ona taka dobra, taka litościwa — ona wam da jeść — a może i chleba bocheneczek — może i koszulkę.

— Bóg Cię natchnął, kochany Jasiu — pomódl się, podziękuj za dobrą myśl twoją. — Ja wybiegnę tymczasem do ogródka — może jeszcze choć kilka ziemniaków gdzieś się nawinie — choć to już późna jesień, i pamiętasz, żeśmy wszystko skopali.

Wzięła motykę — wybiegła do ogródka — i pilnie, gorączkowo, poczęła przewracać ziemniaczysko. I w istocie — Bóg się ulitował — znalazło się kilkanascie dość sporych ziemniaków, wkrótce i objad był gotowy, i sól gdzieś na murku od pieca w papierku się znalazła.

Posilił się Jasio kochany — boć matka, choć jej głód ściskał wnętrzności, zaledwie dwa ziemniaki spożyła, aby Jasio nie płakał.

Po południu puściła się nieboga w drogę. Wiatr silny, mroźny, przejmował do kości źle otuloną i odzianą Marcinowę, a choć macierzyńska miłość dla ukochanych dziatek naprzód ją popychała, toć wkrótce uczuła wielki ból w nogach — osła-

bienie w całem ciele — i dalej nie mogła ruszyć ani kroku. A tu do dworu jeszcze daleko, a do chaty tak bliziutko. W oczach poczęło jej migotać, głowa się zawracała i po chwili z okrzykiem: Boże mój! dzieci moje! — upadła bez pamięci na ziemię.

Zimny, drobny śnieg, co niedawno upadł na ziemię, ocucił ją z zemdlenia — otworzyła oczy — chciała się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i upadła znów na ziemię. Już nic nie mówi, nic nie czuje, tylko postać dzieci biednych stoi jej ciągle przed oczyma. Wypoczęła chwilę, dobyła ostatnich sił i z wielkim trudem zawłokła się do chaty, uścisnęła dziatki, wzniosła ręce do nieba — jakby błagać chciała o pomoc i litość nad niemi — i upadła na słomę. Niedługo, umęczona cierpieniem i głodem — westchnęła jeszcze raz, i dusza jej uleciała do nieba.

Jasio tulił się do niej, bo myślał, że spi, a niemowlę płakało z głodu w kołysce.

Kiedy po niedługim czasie i Jasiowi głód począł dokuczać, chciał zbudzić matusię, całował ją po rękach, ruszał, cucił, ale nic nie pomogło. Rozpłakał się na dobre, i nie mógł się długo utulić. Wreszcie unużony położył się obok mateczki — poobtulał się płachtą i płocianką, i zasnął.

Nad ranem, świtem, obudził go płacz niemowlęcia w kołysce. Przetarł oczy, uczuł się nieco rzeźwiejszym i budził matulę — ale napróżno. U progu spoczywała koza z nabrzmiałemi wymionami. Jasiu jakby cudem jakimś orzeźwiony - popatrzał chwileczkę, z radością wyjął z kolebki siostrzyczkę, przysadził do kozy, i sam nie wiele się namyślając, ustami począł wysysać mleko. Koza nie broniła się wcale — owszem zdawało mu się, że jej to sprawia przyjemność.

Siostrzyczkę obmył, wsadził do kołyski, otulił jak mógł i uspił, a sam począł się krzątać po izbie. Zapalił na kominku, zamiótł izbę i nad ranem wypuścił kozę do ogródka. Kiedy się już rozwidniło, wybiegł za chatę do lasu i szukał liści zielonych dla kozy. To znów powracał do domu, cucił matusię, tulił siostrzyczkę i rozgrzewał się u kominka.

Ku południowi niezwykle daleko odbiegł od chaty. Usłyszał gdzieś w lesie ujadanie psów, zrobiło mu się przykro

i żałośnie na sercu i rozpłakał się bardzo. Psy się zbliżały, wreszcie tuż obok niego przemknął zając, a za nim legawce. Przeląkł się jeszcze więcej, chciał biedz do chaty, ale nożęta mu się trzęsły — więc usiadł pod drzewem i szlochał.

Nadeszli myśliwi a na ich czele pan lasu i poblizkiej wioski. Dziedzic zobaczył pacholę, jak skulone na ziemi trzęsło się od zimna i szlochało. Wypytywał je, co mu takiego, ale Jasio wystraszony nieznajomemi ludźmi, boć w lesie rzadko kogo widywał, wyszczebiotał kilka słów, mało zrozumiałych, z których ów myśliwy zaledwie tyle odgadł, że matusia spi, a on dobudzić się jej nie może.

Utulili chłopca myśliwi, i za jego przewodem ruszyli do chaty gajowego. Kiedy weszli, widok okropny przeraził ich oczy. Na barłogu leżał trup Marcinowej, straszny, zczerniały, w kołysce dziewczynka wynędzniała, zaledwie dosłyszanym głosem płakała, bo już jej i sił i tchu brakowało. Jasio rzucił się ku matce, i nuż ją całować, nuż wołać i cucić. Łzy stanęły przytomnym w oczach.

Dziedzic wioski dumał przez chwilę. Na twarzy jego malowało się dziwne jakieś wzruszenie i myśl poczciwa. Kazał zajechać furmance, co wiozła jadło dla myśliwych — chłopca nakarmił, dziewczynę okryto na wozie czem było można, i wszyscy zaraz wyruszyli z polowania z powrotem do dworu.

Jeszcze tego samego dnia zajechał wóz do chaty leśnika, wieśniak zabrał Marcinową do wioski — ułożono ją w kościele na katafalku, zrobiono na prędce trumnę i zaraz na drugi dzień odbył się wspaniały pogrzeb kosztem dziedzica.

Rozgłosiła się w wiosce pogłoska, że żona gajowego z głodu umarła — a dzieci jego zapewne wilki zjeść musiały, bo ich w chacie nie było. Dziedzic zaś zakazał wszystkim, co byli z nim w chacie leśnika, aby nie mówili nic, że dzieci zabrał z sobą. Słudzy ze dworu myśleli, jak im opowiadano, że sieroty, to dzieci jakiegoś dalekiego i ubogiego krewnego dziedzica, które pan na wychowanie przyjął. Chciał pan przez to ukarać pijanicę, który żonę swoją głodem zamorzył.

Coś w tydzień, w nocy, pijany gajowy zapukał do okienka swej chatki. Puka coraz głośniej, nikt nie odpowiada — klnie

coraz okropniej — dobywa się do drzwi, bluźni Bogu — odgraża się żonie — a wreszcie siekierą, którą zawsze nosił przy sobie, rozbija zamek i z wściekłością wpada do środka. Zaświecił siarnikiem — patrzy... nic nie widać — rozpalił szczepy (smolaki) na kominku — obchodzi wszystkie kąty, krzyczy — przeklina. Dreszcz zimny przeszedł go aż do szpiku kości — dokoła pusto i głucho — nigdzie ni żywej duszy, kilka ździebeł barłogu rozrzuconych po izbie. Umilknął — włosy dębem stanęły mu na głowie, czemprędzej zatrzasnął drzwiami i wybiegł jak strzała na drogę — i biegnie, i biegnie co tchu, i ucieka jakby śmierć za nim goniła. I zdaje mu się, że coś tam z chaty woła na niego. „To tyś zabił żonę własną, tyś dzieci twoje wydał wilkom na żer.“ To znów ręką bierze się za głowę, bo myśli, że go dziki zwierz szarpie, to wreszcie niemowlę zdaje się wyciąga do niego rączkę o ratunek, a tymczasem dziki zwierz porywa je i zajada. Marcin biegnie i biegnie, pot cieknie z niego kroplami — a on nie ustaje — a w uszach brzmi mu ciągle: tyś zbójca! tyś zbojca!

Wreszcie dobiegł do karczmy na początku wioski, wpadł do izby — i dopiero teraz spojrzał po za siebie, bo pierw nie miał odwagi. Usiadł w kącie zadumany, zmęczony, jakby go kto zbił najokropniej. Nic nie mówi, nic nie odpowiada, choć go pytają sąsiedzi — on nic nie słyszy. Kazał sobie podać pół kwarty wódki — wychylił ją prawie duszkiem, i wkrótce potoczył sie pod ławę, i zasnął snem pijaka bydlęcia.

Kiedy nad rankiem przebudził się nieco trzeźwiejszy, wybiegł natychmiast z karczmy, aby przynajmniej dowiedzieć się od sąsiadów, czy nie wiedzą, co się stało. Opowiedzieli mu, że Marcinową pochowano niedawno, że umarła z głodu, ale o dzieciach nikt nic powiedzieć nie umiał. Mówili, że je zapewne wilki zjadły. Kazali mu iść do dworu. Ekonom wypłacił mu resztę pieniędzy do roku i rozkazał szukać gdzieindziej chleba, bo już na jego miejsce jest inny, a Pan nie chce mieć gajowym takiego bezbożnika. Marcin zgarnął pieniądze do kalety i ruszył do karczmy napowrót. Póki grosza starczyło, pił bez upamiętania, aby zalać robaka, co go gryzł ustawicznie — a w końcu wyrzucił go arendarz na śmiecie, bo już nie miał

czem płacić. Poszedł Marcin z wioski o żebranym chlebie, gdzieś w dalekie strony, i słuch o nim wkrótce zaginął.

Tymczasem we dworze Jaś i Marysia chowali się zdrowo, z dniem każdym co raz ładniejsze, rzeźwiejsze, weselsze. Jasio z początku nieśmiały, wołał często matusi, płakał nawet za nią, ale wśród nowych uciech wkrótce o niej zupełnie prawie zapomniał. Po dwu latach już i czytać się począł uczyć, a pojmował wszystko bystro i prędko. (C. d. n.)

Krakowiak Zosi.

Świeci miesiąc, świeci, a przy nim gwiazdeczka
Jestem sobie jedna u matki córeczka:
Jedyna córeczka i dobra dzieweczka,
Niech powie miesiączek, niech powie gwiazdeczka.

Gdym sobie raz spała, aniołkam widziała,
Mówił mi aniołek, bym matkę kochała;
Skoro się Zosieńka ze snu przebudziła,
Pobiegła do matki, matusię pieściła.

O gdybym ja miała którą z tych gwiazdeczek!
Zrobiłabym mamie na główkę wianeczek:
Niechby ją zdobiły, niechby jej świeciły,
Gdyby te gwiazdeczki wszystkie moje były.

Adam Mieczyński.

— A ja wam powiadam, mój Macieju, — mówił Bartek Kowacz — że gospodarki uczyć się nie trzeba z książek. Toć przecie nasi ojcowie gospodarowali bez książki i nauki, i dobrze im się powodziło. I zboże się rodziło gęste jak las, i wysokie, żeś człeka w niem nie zobaczył, i kłosy grube jak. palce i plenne tak, żeś ziarna policzyć nie mógł.

— Oj co prawda, to prawda — Pan Bóg pierwej błogosławił więcej ludzi, boć nie byli tak jak teraz chciwi i złośliwi.

Potwierdzali to gospodarze wszyscy, zebrani u Macieja w niedzielę na imieniny. Ale Maciej, mądry nie lada, co to

nie z jednego pieca chleb jadał za młodu, i nie jedno widział, i nie w jednym kraju przebywał, potrząsał tylko głową i uśmiechał się podczas tej gadaniny. A w końcu przemówił.

— Toć kiedy naszą Polską rozbierali niedobrzy sąsiedzi, nie było w Poznańskiem księstwie ani jednego Niemca, a teraz to ani ich policzyć nie można, i mówią nam nawet, że to ich kraj i ziemia, a nasi bracia Mazurzy — mój mocny Boże!—jedni uciekli przed biedą aż do Ameryki, a drudzy, co to dawniej mieli własną rolę i chudobę, służą u Niemców za parobków. A wiecie jakim się to stało sposobem? Oto przez naukę i lepszą gospodarkę niemiecką. Niemczyska wiedzą o tem dawno bardzo dobrze, że nauka i książka i do gospodarki wiele pomoże. Toć, chociaż nasza ziemia urodzajniejsza, dzięki Bogu, choć lepsze wydawała plony — oni nauką i pracą poprawili swoje role, tak że lepiej im się zboże rodzi, nauczyli się wiele rzeczy, o których nam się ani nie śniło i z roli każdej więcej potrafią, wydobyć pieniędzy jak my, co to nie chcemy słuchać mądrzejszego. A w wielkiem księstwie Poznańskiem płacili grubo za grunta, bo umieli z nich korzystać. Jaki taki uchcywił się na pieniędze, sprzedał chatę i rolę, bo myślał, że gdzieindziej więcej za to gruntu dostanie. I tak pomału, w kilkunastu latach, wykupili Niemcy całe wioski, co niegdyś do naszych należały chłopków, a ci poszli z torbami. Tak się stanie i z nami, jeżeli się nie weźmiemy do nauki. Nasze role, nasze pola, wykupią Niemcy i żydzi — a my będziemy im służyć jako parobcy, albo błąkać się po cudzych krajach. Boć to teraz na świecie tak się dzieje, że nie mocniejszy słabszego, ale mądrzejszy zwycięża i bije głupszego.

Toć przecie i u nas poznaliśmy, co to znaczy mądrość i nauka. Już teraz nie zobaczysz prawie nigdzie dawnego pługa, tylko żelazny niemiecki, bo jest i lepszy i nie tyle koni do niego zaprzęgać potrzeba, i wozu dawnego jeszcze tylko na Rusi używają — a u nas wszystkie na żelaznych osiach. A nikt nie mówi, że nasi ojcowie jeździli na drewnianych, więc i my tak jeździć musimy — bo widzi, że taki wóz i pług jest o wiele lepszy. A ileż to jeszcze jest rzeczy dobrych, a my o nich nawet nie słyszeliśmy.

— Macie słuszność Macieju, odpowiedzieli gospodarze, aleć Bóg więcej nas błogosławił, jak teraz.

— Nie przeczę, że błogosławieństwo Boże potrzebne jest zawsze i wszędzie — aleć Bóg próżniaków ani pijaków nie wspiera, on dopomaga tylko temu, kto sobie sam chce dopo-



Adam Mieczyński.

módz. On to powiedział: „W pocie czoła pracować będziesz“ — a w innem miejscu mówił: Bądźcie doskonałymi jak ojciec wasz w niebiesiech jest doskonałym“. Znaczy to, że mamy poznawać jego dzieła, mamy się uczyć, aby się stać godnymi nazwy człowieka. Pracą i nauką bogacą się narody — powiedział mędrzec, a teraz wszyscy ludzie już to poznali. Ale powracam do opowiadania.

Kiedy nasi zobaczyli, że i w gospodarce nauka potrzebna, kiedy wielu utraciło majątek i sposób do życia, wtedy szlachetniejsi ludzie poczęli myśleć nad tem, aby i u nas zaprowadzić lepszą gospodarkę, aby i u nas wiedzieli ludzie, jak to można mieć większe zyski z roli i nie dać się przywłokom z końca świata bogacić. Jedni zakładali szkoły rolnicze, drudzy zawiązywali towarzystwa rolnicze, aby się tym sposobem wzajemnie nauczać gospodarki. Inni znów, co się wyuczyli za granicą, chwycili za pióro i nuż opowiadać za pomocą pisma ludziom, jak to można nie dać się przybyszom i lepiej niż dotąd uprawiać rolę.

I wielu już, bardzo wielu, pracowało nad tem — a my o nich prawie nic nie wiemy, choć mądrzejsi wiedzą dobrze. Ale nie będę wam o wszystkich opowiadał, boć tego i do jutra bym nie skończył, wspomnę tylko o Adamie Mieczyńskim (obacz obrazek) co to mieszka w Warszawie i wydaje pismo: „Gazetę rolniczą“. Urodził on się w wiosce Cibory w Królestwie polskiem, kończył szkoły łacińskie w Płocku, a następnie przebywał w rozmaitych szkołach rolniczych, i u wzorowych gospodarzy na praktyce. Poznał się z Michałem Oczapowskim najsławniejszym pisarzem o rolnictwie i wzorowym gospodarzem, i od niego również wiele się nauczył. Miał już rozmaite posady, wielce zyskowne i dobrze płatne — przyczynił się wiele do podniesienia gospodarstwa, a teraz osiadł w Warszawie i wydaje, jak już wspomniałem, „Gazetę rolniczą.“ Prócz tego wydał on jeszcze dla gospodarzy następujące książki:

Pszczolnictwo polskie,	w Warszawie r.	1857 i 1862	drukowane
Rzeczy gospodarskie	„ „	1857	„
Rolnik początkujący	„ „	1859	„
Dobry pszczolarz	„ „	1859	„
Zasady leśnictwa	„ „	1860	„
O poznawaniu mleczności krów		1866	„

Kalendarz ludu polskiego, Kalendarz domowy, Kalendarz rodzinny, które w ogromnej liczbie rozchodziły się po całej Polsce, i wiele innych dzieł.

Toć nietylko w kraju, ale i za granicą uznali ludzie jego pracę i rozmaite towarzystwa starały się, aby został ich honorowym członkiem.

Tak to, powtarzam wam jeszcze raz, i w gospodarstwie nietylko praca, ale i nauka potrzebna, a tylko ten wyjdzie dobrze, kto i jedno i drugie posiada.

— Mądrze mówicie Macieju, odezwał się Wojciech Dyląg, aleć to dla nas już pono i za późno się uczyć.

— Lepiej późno, jak nigdy, odpowie Bartek Kowacz — a inni gospodarze potakują mu kiwając głowami. — Oj toć u nas jeszcze pół biedy — choć może być gorzej — ałeć to w tem Księstwie naprawdę Niemcy naszych z torbami chcą puścić. Teraz to rozumiem śpiewkę, com ją jeszcze od niebożki matki słyszał:

Przyszli Niemcy do kraju
Według swego zwyczaju,
Z cielęcemi torbami
A teraz są panami.

Daj Boże! — aby się i nam tak nie stało jak nieszczęśliwym naszym braciom — a nie stańie się z pewnością, skoro pracować i uczyć się będziemy.

— Daj Boże, Daj Boże! — powtórzyli wszyscy zgromadzeni u Macieja gospodarze.

Teatr.

W wielkich miastach są gmachy wspaniałe, co się nazywają teatra. Tam to ludzie wyuczeni do tego, przedstawiają różne historje z życia ludzkiego, na pożytek, naukę i zabawę zgromadzonych. Jest to bardzo przyjemnie i pożytecznie przypatrywać się takim przedstawieniom, boć nic człowieka lepiej nie uczy, jak życie ludzkie. A tam widzi on właśnie, jak to ludzie między sobą żyją, jak się kochają, nienawidzą, mszczą, zazdroszczą sobie wzajemnie i chwalą się czasem niepotrzebnie.

Jeden z nauczycieli wiejskich, niejaki Michał Solakiewicz w Mędrzechowie, napisał taką powiastkę z życia naszego ludu, a dzieci szkółki w Mędrzechowie wyuczyły się ją na pamięć i przedstawiały ją często w obec licznie zgromadzonych i chłopków i dziedziców z okolicy. A że to nieraz u nas podobne zdarzają się historye, że urlopnicy i wysłużeni żołnierze, kiedy powrócą do domu, nie chcą uszanować ani Pana Boga, ani starszych w gromadzie, że udają jakichś tam Niemców i nawet mowy ludzkiej nie rozumieją, że najczęściej stają się pijakami a nawet i gorzej — na to i wy często patrzyliście własnemi oczami. Otóż kome-

dyjka ta przedstawia, jak to śmiesznie i bezbożnie naśmiewać się ze swoich, i jak takiego dziwoląga słuszna i zasłużona kara spotkała.

Urlopnik

obraz k z życia ludu wiejskiego nad Wisłą, ze spiewkami, odegrany przez dzieci szkoły Mędrzechowskiej dnia 28. kwietnia b. r.

Osoby:

Wojciech Bruzda, włościanin zamożny.

Zosia
Staś } jego dzieci.
Marysia

Marcin, parobek.

Katarzyna Wróblowa, (wdowa).

Janek, jej syn, urlopnik, narzeczony Zosi.

Mojsiek, arędarz miejscowy.

Rzecz dzieje się w domu Wojciecha, na początku wiosny.

Teatr przedstawia wnętrze chaty wieśniaczej.

Wystąpienie 1sze.

Wojciech, Zosia, Staś, Marysia i Marcin (klęczą i spiewają).

(Spiew) Boże w imię Twoje święte
Dzionek zaczynamy;
Błogosław prace zaczęte
Z pokorą błagamy.

Błogosław Ojczyznę Panie,
Użycz jej opieki:
Niech Twa chwała nie ustanie
Teraz i na wieki.

Wojciech (wstaje)

Moje dzieci, teraz każde do swej pracy: ty Marcinie idź do koni, (Marcin odchodzi) — ty Zosiu, do bydełka. — A wy Stasiu i Myrysiu, zbierajcie się do szkoły; tylko mi tam uważać; bo i dzisiaj opowiecie mi, czegoście się nauczyły!

Staś.

Toć my to tatusiu przecie wiemy, boć i pan nauczycieł zawsze nam to przypomina.

Wojciech (głaszcząc je)

Wiem, żeście pilne i do nauki ochocze, bo mi o tem pan nauczyciel mówił. Żalił się wprawdzie na wasze psoty, ale to młodość — ot nie przymierzając, i źróbek skacze i fika.

Staś.

Prawdę mówicie tatusiu; pan nauczyciel nie lubi ślamazarników, ani też ponurych dzieci, ale wesołe to lubi.

Wojciech (słyszy dzwonienie)

Już dzwonią na mszę świętą. — Do szkoły bałamuty, do szkoły!

Staś i Marysia. (zabierają książki i całują ojca w rękę)

Już idziemy; bądźcie zdrowi tatusiu! bądź zdrowa Zosiu! (odchodzą)

Wojciech. (sam)

Dopóki jeszcze zdrowie służy, trzeba się powlec do świątyni pańskiej; jest za co Panu Bogu dziękować, jest i o co prosić.

Wystąpienie 2gie.

Zosia (sama)

Mój Boże! kiedy sama zostaję w chacie, to mi czegoś tak przykro, tak smutno! zdaje mi się, żem już całkiem sierotą. A przecież mam tak dobrego ojca: kocha mnie, radby mi słonka przychylił. — Ale więcej nikogo! — Janek Wróbel niby mię lubił, zanim go wzięli na żołnierza— kupował mi wstążki, pierścionki, koronki, i gadał, że mu się podobam. — Ej! i inni chłopcy tak mówili — wołali mnie do karczmy, ale ja nie poszłam, oj nie!, bo karczma,

jak tatuś mówią, to piekło dla każdego — a cóż dopiero dla dziewczyny! — Oj! co się będę smuciła! Janek lada dzień powróci od wojska, bom list od niego czytała — A co to za uciecha! aż mi serce skacze.

(spiewa)

Jestem se dziewczyna u tatusia w domu,
Jeszczem mego serca nie dała nikomu!
Lecz gdy Jaś przybędzie, ślicznie się ustroję,
Że mu się spodobam — o to się nie boję.
Ptaszki z obcych krajów już do nas wróciły,
A jego nie widać — o mój Boże miły!
Przyjeżdżaj Jasieńku, Zosia na Cię czeka,
Bo to już ten powrót trzy lata się zwleka.

(mówi) Och! rety! ja sobie tu wyśpiewuję, a ojciec kazali zajrzeć do bydełka. — Przybędzie znowu cielątko, to będzie moje. Mam już kilka kokoszek, dwa kogutki, dwoje prosiąt, mam korale nielada, sukmanę z czerwoną podszewką — ale najbardziej tem się cieszę, że Janek powróci. (odbiega) —

Wystąpienie 3cie.

Marcin (z rzezakiem i osełką).

(rozgląda się) Nie ma jej! musiała iść do bydełka, o! bo to też z niej gospocha! Oj! szczęśliwym też to, szczęśliwym będzie, komu się ta Zosia dostanie za żonę. — Teraz dopiero czuję moją chudobność. Od maleńkości patrzę się na nią, coraz to śwarniejsza, coraz to bardziej chwyta mię za serce. A kiedy zacznie czytać jaką historyjkę, to wtenczas już taka czegoś ładna, że się patrzę w nią, jakby w obrazek nieprzymierzając. — Darmo — już ona mi się nie dostanie! (Spostrzega książeczkę na stoliku) A! to ten Głowacki, co o nim wczoraj tak ładnie czytała. — Ej! żeby to była wojna z tym psiawiarą Moskalem, zaraz bym poszedł. — Do austryackiego wojska nie wzięli mnie, żem mały — ale mam ręce krzepkie; jakbym ten rzezak naprawił na dobry drążek, tobym się dał weznaki tym gnębicielom Moskalom albo i Prusakom! A możebym został nawet i takim, jak ten tu namalowany — bo przecież i on był wieśniakiem. Wtenczasby Zosia pewnie była moją. Kto wie, czy się tak nie stanie?

(Spiewa)

Oj! ostre, oj, ostre, oj ostre kosy nasze
Wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze.
Kościuszko, Głowacki oj! w sukmanach chodzili,
A wrogów Ojczyzny potężnie grzmocili!
Pan Bóg da, przyjdzie czas — oj damy się im w znaki!
Wypędzim z Ojczyzny: Moskali, Prusaki!
Oj ostre, itd.

(Przy końcu spiewu wbiega Zosia)

Wystąpienie 4te.

Marcin i Zosia.

Zosia.

Cóż ty sobie tak wyśpiewujesz?

Marcin.

Tak sobie z ochoty! bo mi przyszła do głowy ta piękna historya o Głowackim, coś to wczoraj Zosiu czytała; i pomyślałem sobie; żeby to z tym okrutnym Moskalem była wojna, który tak prześladuje naszą religiję, mowę i braci naszych tam za Wisłą, tobym od razu poszedł za kosyniera. - Czybyś ty Zosiu za mną płakała?

Zosia.

Oj! nie miałabym też za kim płakać!

Marcin.

A za Jankiem Wróblem, toś cały tydzień szlochała, gdy go do wojska wzięli; a teraz, kiedyś się dowiedziała, że ma powrócić, to mało, że nie oszalejesz z radości.

Zosia. (tak samo)

Janek co innego, a ty co innego!

Marcin.

A cóż to Janek, co tam gdzieś po Niemcach się włóczy! — a gdybym ja był polskim żołnierzem, broniłbym własnej Ojczyzny — toćbym mniej od niego miał znaczyć! Oj Zosiu, Zosiu!

Zosia (łagodnie)

Ej! nie tak ja myślałam; tylko widzisz Marcinku, my się to z Jankiem razem bawiali, a Katarzyna zawsze mi mówi, że skoro Janek powróci od wojska, to się pobierzemy.— Jabym i za tobą, Marcinie, płakała.

Marcin.

O! przyniewolony pacierz Panu Bogu nieprzyjemny. — Ja się prawda z tobą nie bawił, bo u was służę — ale cię kołysałem, kiedy mnie Wojciech po śmierci moich rodziców za pasterza do gęsi przyjęli. Zawsze cię Zosiu lubiłem — a teraz...

Zosia (bierze go za rękę)

To ja cię też, mój Marcinie, lubię jak brata! — (patrzy w okno) O! dla Boga! Wróblowa tu biegnie! odejdź Marcinie!... (odchodzi)

Wystąpienie 5te.

Zosia — potem Katarzyna.

Zosia.

(Patrząc za odchodzącym) Poczciwy chłopak! on mnie, on wszystkich nas tak bardzo lubi!

Katarzyna (wbiega zadyszana)

Niech będzie pochwalony!

Zosia.

Na wieki wieków Amen — Witajcie!

Katarzyna (zawsze prędko) Zosiu! a gdzie tatuś?

Zosia.

W kościele, — Ale cóż się stało dla Boga świętego!!

Katarzyna (z radością)

Mój Jaś kochany powrócił z wojaczki. Co też to za ładny chłopiec, jak lalka, jak pańskie dziecko, taki delikatny. Zobaczysz go dzisiaj, przyjedziemy tu oboje, tylko że odpocznie a jak on gada, wyśtafiruje się szykownie!

Zosia.

A o mnie się pytał? co? powiedzcie!

Katarzyna.

Jużci, że się pytał, czyś zdrowa, czyś się nie wydała. (patrząc w okno) Ależ i Wojciech idą! Co to za uciecha, co za uciecha! będzie i napitek! — ale jaka gorzałeczka, o! jeszcześ takiej przenigdy nie piła!

Wystąpienie 6te.

Zosia, Katarzyna i Wojciech (wchodzi)

Katarzyna.

Witajcie mi! kumotrze, mój Janek powrócił — anim go poznała...

Wojciech (siadając)

Bardzo wierzę, bo pierwej wstąpił przywitać Mośka niż matkę.

Zosia (na stronie)

O! najświętrza Panieczko! czy to być może!

Katarzyna.

Nie wierzcie też Wojciechu plotkom, nie wierzcie! Ci ludzie zawsze więcej powiedzą niż wiedzą. Ale to wszystko ze zazdrości, mówię ze zazdrości, bo to śliczny chłopak.

Wojciech.

Wy kumoszko zawsze mówicie tylko o jakiejś zazdrości, o podrywce, i Bóg wie nie o czem jeszcze. Więc opowiem wam jak było: Po mszy św. odwiedziłem naszego księdza Dobro-

dzieja; rozgadaliśmy się to o tem, to o owem; aż tu przychodzi jeden sąsiad, i mówi, że Wróbel Janek przyszedł od wojska, bo go widzieli, jak wstąpił do karczmy.

Katarzyna.

Otóż nieprawda! wierutne kłamstwo! bo już dawno przyszedł, i nic mi nie wspomniał o karczmie. — Ale wy, to już jak w święte pismo wierzycie, co wam ksiądz powie!

Wojciech.

Ależ powiedziałem, że o tem jeden sąsiad doniósł.

Katarzyna.

Który to taki, powiedzcie mi, a zaraz pójdę, niech to odszczeka—zaraz pójdę!

Wojciech.

Dajcie pokój z tą obrzydłą zawziętością, bo to grzechem. Jeźli nie prawda, to o cóż wam chodzi, a zresztą prawda się wyda; na co robić obrazę boską! (C. d. n.)

Rozmaitości.

* *Zbiór pamiątek polskich w Raperswyll.* Daleko po za granicami naszej ojczyzny, w kraju co się nazywa Szwajcaryą, zakupił hrabia Władysław Plater starożytny zamek nad wielkiem jeziorem, odnowił go, odbudował i tam umyślił zgromadzić pamiątki polskie z dawnych, świetnych czasów. Boć to, jak już wiecie, wojowaliśmy my Polacy to z Niemcem to z Turkiem i Tatarami, to z Moskalem. A teraz niestety upadliśmy, i musimy słuchać obcych cudzoziemców. Toć i niemiło się robi Moskalowi, gdy zobaczy chorągiew i zbroję, co ją nasi przodkowie na jego ojcach lub pradziadach zdobyli. Niemiło Niemcowi lub Moskalowi, kiedy zobaczy malowanie, jak to dawni Polacy bili w wojnie napastników i grabieżników, a jeszcze bardziej gniewa się, kiedy ujrzy książkę, co to opisuje te wszystkie świetne i chwalebne dzieła nasze. Toć Moskale zagrabili i skradli wszystkie prawie książki, o dawnej Polsce i wywiezli je do Petersburga, aby ich nikt nie ujrzał więcej; toć to oni chcą, abyśmy zapomnieli o tem, żeśmy Polakami, abyśmy wyrzekli się naszej mowy i wiary.

Więc nic dziwnego, że hrabia Plater aż tak daleko w kraju szwajcarskim, co to od dawna jest wolny i nikogo nie słucha tylko praw własnych, które sobie sam układa, zakupił zamek i zbiera pamiątki o dawnej Polsce, boć się bał, aby chciwość moskiewska nie zagrabiła drogich sercu naszemu pamiątek. Tam to ręka żadnego grabieżcy nie sięgnie, a Polak przejeżdżający i wszystkie inne ludy będą mogły poznać, czem byliśmy, i czem być możemy.

Zbiór tych pamiątek nazywa się w języku uczonych muzeum.

Uroczyście, w obecności Szwajcarów, Polaków, Niemców, Anglików i innych ludzi otwarto muzeum w przeszłym miesiącu w dniu 23. października.

Zewsząd z Polski nadsyłają odtąd

pamiątki: malowidła, zbroje, książki, monety do muzeum.

Kiedy Polska będzie wolną, kiedy odzyska to co jej odebrali sąsiedzi, wtenczas nie będziemy się więcej bać grabienika Moskala, wtenczas i zbiory wrócą do naszej ojczyzny — co daj Boże jak najprędzej!

— *Żyd przy rekrutacji.* Wiadomo, że w Prusiech wszyscy muszą służyć w wojsku. Otóż teraz, kiedy to na tę straszną wojnę wszystkich powypędzano do Francji, choć mają domy i rodzinę — powołano do wojska resztę wojska, resztę obywateli, a między innymi na Szlązku pruskim w jakiemś miasteczku i pewnego żydka. Żydzisko wyglądał jak dąb, prosty jak świeca, silny jak niedźwiedź, ale serce zajęcze. W domu powstał wielki lament, żydek i cała rodzina krzyczeli aj waj! w niebogłosy, wreszcie poczęli radzić, co tu robić? — czy uciekać za granicę, przed wojskiem, czy w inny jaki sposób zaradzić nieszczęściu.

Uradzili, aby przekupić urzędnika, co to przy rekrutacji zasiada i mówi, czy kto zdatny czy nie. Zebrali 50 talarów i oddali żydkowi. Ten stanął przed komisyą, ukłonił się pięćdziesiąt razy, i mówi:

— Najwielmożniejszy i Najjaśniejszy Pan! — ulituj się nademną biednym żid—ja niewart ani dziesięć grosi, ja mam żonę, dzieciów, bachures — aj waj! ja w wojsku na nic się nie psidam, ja będę zawadzał, będę chodził z kątów w kąt — prosię jaśnie oświecony pan, niech jaśnie oświecony pan psijmi oto te czterdzieści talarów, a mnie puści.

— A to ty nie wiesz o tem, że przekupstwo karzą więzieniem?

— Ny — ja wolę siedzieć cali rok w kozów, jak iść tam, gdzie ścilają — aj waj! tam kulów ołowianych latają jak groch.

— To ci nic nie pomoże — odsiedzisz swoją karę, a potem musisz iść do wojska.

— Aj waj! Jaśnie oświeconi — jeszcze pięć talarów dołożę.

— Milcz! bo cię zaraz odeszlę do kozy.

— Aj waj! aj waj! ja już sam pójdę.... dobrowolnie. Ale prosię jeszcze o jedną laskę. Czi to prawda że wojacy muszą zawsze stać prosto jak słup, lub świeca?

— Rozumie się.

— A jak psijdzie do bytwy z Francuzem, to także muszą stać prosto i głów do góry tsimać.

— A nie inaczej.

— Jeszcze 5 talarów jaśnie panie — aj waj!... ja nie pójdę.

— Ordynans, zaprowadź tego durnia do kozy.

— Gewałt! aj waj! z przeproszeniem, a jak Francuzy będą stsilać na mnie wielkiemy i małemy kulami, to mi wolno będzie się trochę skurczyć i tak trochę pomału schylić głów ku ziemi.

— Będziesz się mógł schylić, ile ci się będzie podobać.

— Ni — to git. Jaśnie panie! — ja pójdę do wojska.

— *Zbrodnia się nie ukryje.* Bogaty handlarz szkła na Szląsku pruskim wracał wieczorem z jarmarku do domu. Targ wypadł bardzo

pomyślnie, z całego ładunku pozostało nie wiele na wozie — więc wesoło zacinał koniki i pędził do domu. Wtem na drodze zobaczył chłopczyka maleńkiego, okrytego w łachmany, trzęsącego się od zimna i wiatru. Dziecina był tak osłabiony, iż dalej ani kroku iść nie mógł. Ulitował się nad biedakiem handlarz, wysadził go na wóz, okrył kożuchem, obtulił słomą, i w imię Boże ruszył dalej.

Aż tu nagle z krzaków wypadają zbójcy, wstrzymują konie, uderzają pałkami handlarza tak, że nieżywy pod wóz się zatoczył. Zabrali pieniądze, jakie miał przy sobie, i aby tem lepiej ukryć zbrodnię, przejechali przez niego wozem, iżby się zdawało że przypadkiem życie utracił.

Chłopczyna dawno się już obudził, ale tak straszny lęk go opanował, iż przez dłuższą chwilę ani się ruszyć nie mógł.

Tymczasem zbójcy uciekli w las, a koniska świadome drogi ruszyły dalej i same zajechały przed karczmę, gdzie handlarz zwykł był nocować.

Gospodarz wybiegł czemprędzej, aby się przywitać z gościem, którego znał od wielu lat i zawsze bardzo dobrze od niego zarabiał. Ale jakże się zdziwił, gdy pomimo długiego oczekiwania, wołania i szukania, handlarza nigdzie zobaczyć nie mógł.

Począł przetrząsać słomę i napotkał na chłopca, a ten wylęknięty trząsł się jeszcze z przestrachu i ani słówka wymówić nie umiał. Zaprowadził go gospodarz do izby, dał mu jeść, ułożył go w łóżko — i dopiero po kilku godzinach kiedy się chłopczyna przespał i przyszedł do przytomności, opowiedział gospodarzowi całe zdarzenie o zbójcach.

Ledwie skończył, aż tu do izby weszli ludzie nieznajomi, a chłopczyna wyszepnął: „to oni“ i okrył się z przestrachu pierzynką.

Gospodarz polecił żonie, aby gości częstowała—sam zaś cichaczem, niby to dla obejrzenia stajni i stodoły wybiegł na dwór i natychmiast poszedł do miasta po żandarmów. Niedługo potem przybyli żandarmi, i schwytali złoczyńców

---

Złote ziarna.

Starodawna przypowieść, a prawdziwa, pieje:
Z mądrymi człowiek mądry, z głupimi głupieje.

Kędy grzech bez karania, bez nagrody cnota,
Tam do wszelkiej swywoli otworzone wrota.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.